PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 10. *Warszawa, 7 marca 1914.* Widok 3.

L. BRUNN.

W pół drogi.

1.

Pięćdziesiąt lat mija od czasu, kiedy weszła w życie reforma przełomowa, której konieczność uznały ówczesne polskie pokolenia zbyt już późno, by ją móc wdrożyć własnymi dłońmi.

Aktem uwłaszczenia d. 2 marca 1864 roku cztery miljony chłopów zaliczono w poczet współposiadaczy ziemi polskiej i czynnych obywateli kraju.

Poprzednio już dokonane uwłaszczenie w Księstwie (1823 r.) i w Galicji (1848) dało niezmierne pomyślne wyniki zarówno pod względem gospodarczym, podnosząc dobrobyt ogólny przez intensywną uprawę roli, jak i narodowym, wlewając świeże strumienie krwi do tętnic życia polskiego, co zresztą twórcom reformy wcale nie leżało na sercu.

2.

Najpóźniej dokonana, najmniej korzystnie przedstawia się reforma w Królestwie, gdzie dotąd wiele zostaje do zrobienia w zakresie unormowania spraw włościańskich. Wygląda to tak, jak gdyby dłoń pośpieszna i porywcza obwiodła jedynie zewnętrzny ich zarys, bez troski o resztę.

System szachownic polnych, brak hypoteki włościańskiej, wreszcie serwituty, wiszące dotąd nad krajem jak nienawistna zmora stosunków pańszczyźnianych — oto są trzy główne dolegliwości, które trapią zarówno wieś i dwór.

Trwamy więc dotąd w przewlekłej fazie tymczasowości z wielkim dla kraju uszczerbkiem: system szachownic nie pozwala na intensywną gospodarkę rolną z zastosowaniem maszyn, podczas gdy w Poznańskiem przymusowe zcalenie gruntów pozwala na jedno i drugie; brak hypoteki chłopskiej wielce utrudnia wszelkie tranzakcje handlowe nie mówiąc już o zawiłej procedurze, związanej z ustalaniem prawa własności i dziedzictwa; wreszcie fatalne szczątki pańszczyzny w postaci służebności pastwiskowych i leśnych, wprowadzając w system własności indywidualnej anachronizm wspólnego władania — są powodem ustawicznych zatargów, utrapień i obustronnej goryczy.

Pod względem zaś polityczno-społecznym za wielce wadliwy uznać należy włościański ustrój gminny, skazany na beznadziejną zależność od władz powiatowych i odgrodzony jakby chińskim murem od innych czynników krajowych.

3.

W niedokończonem dziele reformy tkwią zatem groty, jątrzące boleśnie od pół wieku nakształt narzędzi w żywem ciele zapomnianych przez operatorów niedbałych albo rozmyślnie roztargnionych.

Nie ulega przecież wątpliwości, że reforma włościańska podyktowana była przedewszystkim polityczną, potem dopiero społeczną troską, co nie mogło pozostać bez wpływu

na jej wygląd ogólny. Podkreśla to z naciskiem jeden z wybitnych znawców i przyjaciół Rosji, niedawno zmarły prof. Anatol Leroy-Beaulieu, który specjalne studjum p. t. *Un homme d'etat russe* poświęcił osobie Mikołaja Milutina i działalności jego w Polsce.

Powiedziano tam, że reforma była pod względem politycznem zupełnie chybiona, bowiem chłop już uwłaszczony, przestając być biernym widzem wypadków, począł rychło, wespół z prawami poczuwać się i do obowiązków względem swego kraju.

4.

Obecnie, mając napół rozwiązane ręce, winniśmy dołożyć wszelkich starań, by w granicach możliwości własną inicjatywą przyczynić się do polepszenia stosunków rolnych. W tym celu musi społeczeństwo zająć się energicznie sprawą zniesienia służebności, wprowadzenia hypotek wiejskich i przymusowego scalenia gruntów, do czego zmierza zresztą i projekt rządowy.

Z ogólnych zaś rozmyślań nad historją uwłaszczenia chłopów polskich wypływa chyba wymowny wniosek, że polskie sfery zachowawcze powinny wystrzegać się bacznie stawiania przeszkód na drodze normalnego rozwoju demokracji włościańskiej. Świadczy bo niedawno miniona przeszłość, że tamowanie tego rozwoju w imię interesów kastowych, czyni go przedmiotem postronnych zabiegów.

I nie tylko chłop i robotnik polski bywa skłonny do szukania ponad głową rodzimej «reakcji» szerszych za krajem horyzontów i rękojmi swego rozwoju czy dobrobytu.. Wszakże niedawno jeszcze część naszej młodzieży, znajdując, iż literatura polska niedość jest postępowa, garnęła się z zapałem do lektury rosyjskich pism radykalnych!..

I dlatego sądzimy, że każdy rozumny zachowawca-Polak winien szanować polską myśl postępową i demokratyczną, stawiąc powyżej osobistych i partyjnych względów oparty na doświadczeniu pewnik, że gdy nie stanie polskiego postępu — wkroczy tu inny, cudzym opatrzony stemplem.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Koniec bajki o masonach. II. Minęły piękne dni Aranjuezu. III. «Nasz dom» czy «kamieniczka?»

I. Sztuczna wrzawa, jaką wszczęto w *Gazecie Warszawskiej* z powodu rzekomych koligacji masońskich *Słowa*, powoli cichnie. Wśród hałasu niewiele do nas doszło cennych wiadomości o tajemniczej sekcie, dowiedzieliśmy się jednak z niemałem zdziwieniem, że kler widzi «paskudną herezję» wszędzie tam, gdzie interes narodowy stawiany bywa ponad religijnym... Jedyny to pozytywny rezultat sporu, który zajął wiele sążnistych szpalt w poważnych organach naszej prasy.

Ostatnie słowo, jak się zdaje, wygłosił ks. prałat J. Gnatowski redaktor *Przeglądu Katolickiego*.

Sędziwy ksiądz-redaktor, skarciwszy łagodnie dwóch poważnionych braci sjamskich — czyli dwa bratnie odłamy idei zachowawczej, wcielonej w endecję i w stronnictwo polityki «realnej»—pofolgował sobie następnie, besztając masonów za to, że, między innemi, wywołali powstanie przeciw Hiszpanii wśród «tagalów filipińskich, by ich później oddać na łup Amerykanom.» *(sic)*.

Nie będziemy się tu rozczulali nad losem tagalów, którzy pono chwalą sobie «niewolę» teraźniejszą, choć księdzu Gnatowskiemu przypada bardziej do gustu system kolonialny hiszpański...

Natomiast nie możemy pominąć milczeniem szczególnej uwagi o winach dawnej masonerji polskiej «przystrojonej w szaty patrjotyzmu i opromienionej urokiem prześladowań z tej samej strony, z której szedł ogólny ucisk narodu...»

Masonerji polskiej— twiedzi ks. J. Gnatowski — „zawdzięcza księztwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe wypędzenie Redemptorystów, kasatę połowy klasztorów i konfiskatę ich dóbr, usiłowania w prowadzenia rozwodów i pozbawienia związków małżeńskich sakramentalnego charakteru, podejrzliwe ograniczenie wpływu kościoła w szkolnictwie i stosunkach państwowych" ...

Oto są wszystkie grzechy masonerji polskiej, oto wszystkie zarzuty, jakimi ją obarczyć może skrzętna pamięć naszego kleru. I cóż, czytelniku? zali wzbiera w tobie gniew i oburzenie na towarzyszów księcia Józefa za niecne wygnanie oo. Redemptorystów, kasatę połowy klasztorów i konfiskatę ich dóbr... na cele narodowe? Zali czujesz pogardę i nienawiść do tych potępieńców z przed wieku, za to, że «podejrzliwie ograniczyli wpływ kościoła w szkolnictwie» dzięki czemu księztwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe miały sieć szkół liczniejszych i lepiej urządzonych, niż obecnie? A może gorszy cię «usiłowanie wprowadzenia rozwodów» *notabene* wprowadzonych już wszę-

dzie na świecie, nie wyłączając apostolskiej Austrji i arcykatolickiej Hiszpanii?...

Nie? Ani cię to gorszy, ani oburza? Nie podzielasz więc uczucia zgrozy, miotającej księdzem Gnatowskim na wspomnienie masońskich onych zbrodni? Ha! wiemy już co to znaczy: popadłeś w moc «paskudnej herezji» i względy narodowe stawiasz, nieszczęsny, wyżej od katolickich!..

II. Minęły piękne dni Aranjuezu... Nieufność zatruła serca, podejrzliwość ninie błyska w oczach, dawniej z jowjalną beztroską na świat patrzących. Zdrożna ciekawość zaglądnęła w szacowne księgi Talmudu i z równą natarczywością wgląda między wiersze takich szacownych organów, jak *Nowa Gazeta* i *Gazeta Losowań*.

Więc utyskuje p. Kempner, boleje p. Peretz, że naród polski światłych ich rad i wskazówek już nie słucha.

A nie słucha ich nie dlatego, by lekce sobie ważył biegłość p. Kempnera w sprawach społeczno-handlowych, tudzież wytrawne sądy p. Peretza o finansach i ruchu giełdowym; nie, bynajmniej nie chcemy odmawiać obu tym mężom właściwych kwalifikacji.

My im poprostu — nie ufamy. Dawniej wierzono, że redaktor *polskiej Gazety Handlowej* lub *Gazety Losowań* stoi na gruncie polskich interesów, dziś — tej wiary niema. Rozpłynęła się, zczezła bez śladu w dziejach ostatnich dziesięciu lat.

Nie dlatego, by powstała tu polska «organizacja wyznaniowa» która «wypiera Żydów bez względu na ich osobiste kwalifikacje» jak twierdzi p. Kempner, lecz dlatego, że ujawniono, zdemaskowano wreszcie «wyznaniową» właśnie «organizacji» żydostwa, do której należą nawet wielce wolnomyślni napozór asymilanci...

I dlatego rozległ się protest przeciw udziałowi p. Kempnera w pracach *Encyklopedji Ilustrowanej* w zakresie handlu na ziemiach polskich, dlatego również musimy tu wskazać na więcej niż podejrzaną rolę, jaką odgrywa *Gazeta Losowań*, poświęcona specjalnie finansom i giełdzie.

Podczas III-ej emisji akcji pewnej firmy polskiej, niemile widzianej przez Żydów, *Gazeta Losowań* wszelkich dokładała starań, by zochydzić kierownika tej firmy, skarżąc go w nagłym przypływie «patrjotyzmu», że część akcji lokuje poza krajem... Jednocześnie wszakże «Biuro bankowe *Gazety Losowań*» kilkaset akcji, będących w jego posiadaniu, rzuca na giełdę po tanim kursie, by wywołać zniżkę i zaszkodzić firmie, niemile przez Żydów widzianej...

Podstęp wszakże nie udał się tym razem, ztąd gniewy i dąsy p. Peretza, który wespół z p. Kempnerem biadać może dowoli nad rosnącym w kraju naszym «zdziczeniem» obyczajów, tak ongi łagodnych,...

III. Z powodu «Wskazań» Czesława Jankowskiego, zamieszczonych w *Prawdzie* i wydanych teraz w odbitce, zamieścił *Tygodnik Polski* dorywczych parę uwag, z których wyczytać można niechęć lub niemożność zastanowienia się nad całą rozciągłością sprawy.

— «Kurczy się *Nasz Dom* — intonuje *Tygodnik* na wstępie — nietylko w rzeczywistości skutkiem klęsk politycznych i własnego niedołęstwa naszego, ale przedewszystkiem w duszach naszych maleje, w naszych aspiracjach.»

Objawy chorobliwego „kurczu“ widzi *Tygodnik Polski* właśnie w rzuconym przez Czesława Jankowskiego ze szpalt *Prawdy* wezwaniu do „zasilania Polski etnograficznej wszystkiemi siłami kulturalnemi i kapitalistycznemi, wycofywanemi z t. zw. kresów b. Rzeczypospolitej.“

Sądzimy, a zgodzą się z nami wszystkie poważne umysły w Polsce, że sprawa tu poruszona zasługuje na poważne traktowanie i że zdawkowym frazesem zbyć jej nie można.

W tej myśli otwieramy właśnie łamy naszego pisma dla wszechstronnej dyskusji, przyjmując zarówno głosy przeciwne podjętej tu inicjatywie, jak i solidaryzujące się z nią, i dając na wstępie uwagi p. Moszczeńskiej. traktujące sprawę z uwzględnieniem historycznych i etnograficznych danych.

Co się zaś tyczy *Tygodnika Polskiego* musimy tu jeszcze wyrazić zdziwienie, że pisząc na wstępie «Nasz Dom» przez wielkie D — kończy następującym niespodziewanym frazesem:

— «Wielkim pradziadom naszym całe powietrze stepów Ukrainy nie starczało na oddech — skarlałym pokoleniom współczesnym kamieniczka w Warszawie szczytem jest aspiracji narodowych!»

Jakże więc: Nasz Dom — czy «kamieniczka»? Anglik przecież, któremu dumy narodowej odmówić nie można, kładzie niesłychanie wiele uczucia w te dwa słowa z miłością i czcią wymawiane: my Home (mój dom). A Wawel czyż nie est «kamieniczką» — królów?

I czy właśnie dziś, w dobie zażartych wywłaszczeń, nie trzeba dużo, bardzo dużo sił ześrodkować w tym celu, by każda «kamieniczka» na ziemiach polskich była w angielskim znaczeniu tego słowa — naszym Domem?

Pocóż więc to lekceważące zdrobnienie wyrazu? kamieniczka, fabryczka, folwarczek — kiedy tak już wszystko, zdrobniałe w naszych ustach, przejdzie w cudze władanie! — wtedy, z trubadurami *Tygodnika Polskiego* na czele siądziemy na «bruczku» — oddychając, w imaginacji, oczywiście — «całem powietrzem stepów Ukrainy!»...

W. RZYMOWSKI.

Granice i podstawy partji politycznych.

1.

Gdy jedni skarża się u nas na to, że społeczeństwo zbyt mało jest zróżnicowane politycznie, że zbyt słabo uwydatnia się podział na partje, drudzy, przeciwnie, dostrzegają niebezpieczeństwo w nadmiernym rozwoju przeciwieństw partyjnych.

Którzy z nich mają słuszność?

Sądzę, że słuszność mają obie strony. Tylko o niej nie wiedzą. Mają słuszność, ale w zupełnie innym znaczeniu, niż przypuszczają.

Faktem jest niezaprzeczonym, że społeczeństwo podzielone jest na odłamy, linje atoli podziałów leżą nie tam, gdzie je ogół widzi, a raczej — gdzie je widzieć przywykł.

Wyliczmy naprzód odłamy polityczne, które w naszym życiu zbiorowym zdobyły sobie prawo obywatelstwa. Jest ich dziewięć, co najmniej. Licząc od strony prawej ku lewej, są to

1) Konserwatyści (Stronn. Polityki Realnej)
2) Narodowa Demokracja (Stronn. Państwowości Ros.).
3) Secesja Nar. Demokracji.
4) Fronda Nar. Demokracji.
5) Polska Partja Postępowa.
6) Polskie Zjednoczenie Postępowe.
7) Polska Partja Socjalistyczna (Frakcja)
8) Polska Partja Socjalistyczna (Lewica).
9) Socjal-Demokracja Król. Polsk. i Litwy

Każdy z odłamów wymienionych wierzy, iż posiada program własny i charakter własny. Każdy pragnąłby, rzecz prosta, przeprowadzić pewne zmiany w sprawach publicznych (nawet konserwatyści), i każdy zdaje się sądzić, że zmiany jego zasadniczo różniłyby sie od zmian, proponowanych przez jakikolwiek odłam inny.

Jest to przesąd, któremu tylko szerokie upowszechnienie daje pozory prawdy. By go ocenić, zauważmy przedewszystkim dwa fakty: że wszystkie lub prawie wszystkie partje posiadając w programach swoich pewne wyrazy wspólne, w działaniu różnią się między sobą — oraz, że istnieją partje, które wyznając teorje różne, w praktyce, mimo to, działają podobnie, gdy w podobnych wypadnie im działać warunkach. Czyli: godząc się w słowach, różnią się w czynach; godząc się w czynach, różnią się w słowach.

2.

Nie daleko sięgać trzeba po przykłady, zarówno na pierwszy, jak na drugi przypadek.

Któraż partja (z wyjątkiem partji Róży Luxemburg) nie dąży do odrodzenia Polski? Któraż nie dąży do odrodzenia narodu przez lud? Niemal wszystkie stronnictwa nasze sprogramowały się pod hasłem autonomji Królestwa Polskiego, na gruncie szeroko pojętego demokratyzmu. Wszelako owa *autonomja* i ów *demokratyzm* jakże odmienne mają znaczenie w rozmaitych obozach! Przypatrzmy się tym grupom, które z emfazą tak zgodnym powtarzają chórem te same wyrazy, przypatrzmy się im w praktyce: obaczmy je przy warsztacie pracy. Dla jednych autonomja jest ostatecznym kresem marzeń, dla innych stanowi ogniwo pośrednie w dążeniu do osiągnięcia wyższych, pełniejszych form współżycia. A przytym, jakże krańcowe zachodzą różnice w poglądach na jej treść, na jej ziszczalność, na samą jej rzeczywistość. Są tacy, którzy początek, a przynajmniej zadatek autonomji gotowi są widzieć w projektowanym samorządzie dla miast Królestwa Polskiego. Są tacy nawet, dla których autonomja realizuje się w każdym uśmiechu dumskiego gębacza, w każdym pobłażliwym geście ministra. A są znów inni, którzy w autonomję wierzą tak tylko, jak socjaliści w rewolucję społeczną, t. j. jako mit stawią ją w szeregu innych mitów.

Wszystkie również partje dążą do podniesienia warstwy ludowej, wszystkie niemal mają na godłach wypisany „demokratyzm“ i „wolność“. Wszystkie stronnictwa chcą podnosić chłopa: ale jedni podnoszą go tylko do poziomu swych pięt, inni go poziomu kolan, inni wreszcie jeszcze wyżej, ale pod warunkiem, żeby nie przestał korzystać nigdy z pomocy swych dobroczyńców, żeby nie zaświtało mu w głowie podnieść się samemu i stanąć o własnej sile.

W rozumieniu „wolności“ różnice zachodzą najjaskrawsze. Dla konserwatystów i endeków wolność oznacza przedewszystkim wolność pracy, t. j. swobodę obrony przeciwko organizatorom strejku. Dla socjalistów natomiast wolność oznacza przedewszystkim wolność powstrzymywania się od pracy, skracania godzin pracy, wolność niepracowania, t. j. swobodę zakładania związków i możność propagandy, choćby pod osłoną bójówek. Konserwatysta czuje się wolny, gdy ma możność użycia wojska celem ochrony tych, którzy chcą pracować. Socjalista zaś czułby się wolny, gdyby mógł siłą zbrojną rozpędzić łamistrejków. Wyraz „wolność“ w obu wypadkach brzmi jednakowo: a przecież w wynikach praktycznych da-

je dwie rzeczy nie tylko różne, ale takie, iż jedna staje się zaprzeczeniem drugiej.

3.

Niemniej wiolorakie da się przytoczyć przykłady i na drugi przypadek: nie brak partji, które programowo stają na biegunach przeciwległych. Gdy jednak członkowie owych partji staną w okolicznościach podobnych, znajdą się wobec spraw pokrewnych, okaże się, że działają jednakowo.

Spójrzmy na dwa skrzydła skrajne: na realistów — z jednej strony, i socjal-demokratów — z drugiej. Czyż podobna wyobrazić sobie programy sprzeczniejsze? Czyż jeden nie wywraca drugiego? Tak jest, istotnie, w teorji. Ale zstąpmy na grunt praktyki. Dostrzeżemy tam znaczną dziedzinę stosunków, w której przeciwnicy programowi podają sobie dłonie do zgodnego działania. Oba te odłamy, w istocie, stawią krzyż beznadziei nad grobem polskiej samoistności narodowej. Oba bezpowrotnie pogrzebały hasło, będące wyrazem najistotniejszych dążeń narodu polskiego. I ci i tamci zgodnie przerzucają punkt ciężkości polityki polskiej poza granice kraju, umarzają sprawę polską nieodwołalnie. Różnica między nimi polega jedynie na tym, że, gdy ugodowcy z prawicy umarzają przyszłość Polski w imię rządów istniejących, ugodowcy z lewicy umarzają Polskę w imię rządów przyszłych obiecanych.

Ponadto łączy ich taktyka wiary w tryumf interesu klasowego: i realiści i socjal-demokraci są marksistami: nie wierzą, aby interes klasy dał się zabezpieczyć w obrębie i na gruncie interesów narodu. „Ileż to razy — pisze Dmowski w swej broszurze o konserwatystach — słyszeliśmy wybitnych realistów, jak z błyskiem nadziei w oczach mówili nam (t. j. endekom) że nasze dzieło zbliżenia ludu z oświeconymi warstwami narodu musi być krótkotrwałe, bo przeciwieństwa klasowe prędzej czy później wezmą górę". To wyznanie, gdyby nawet było zmyślone przez Dmowskiego, nie przestałoby być słuszne, jako charakterystyka realistów. Ciekawe jest ono i przez to jeszcze, że zaznacza rys różnicy między realistami a endecją w poglądach na emancypację ludu: i realiści i endecja zwalczają wszelkie dążności ludu pracującego do organizowania się samodzielnego; ale realiści w dążeniach tych widzą przedewszystkim niebezpieczeństwo dla siebie i, jako takie, je zwalczają; endecja, natomiast, wskazuje w nich niebezpieczeństwo dla narodu, i w imię narodu je zwalcza. W gruncie, i ona także lęka się o siebie tylko, i ona ożywiana jest przedewszystkim egoizmem partyjnym, ale nazywa go inaczej, nazywa go egoizmem narodowym, i — tym kłamstwem, bądź co bądź, stwierdza zwierzchnictwo narodu, wyznaje wyższość praw jego ponad prawami jego części. Realiści są odłamem tak dalece zobojętniałym na sprawy narodowe, że nawet im się nie chce... ponosić fatygi kłamstwa przed narodem. Powiadają sobie: nie warto! Endecja jest innego zdania i skłonna jest do daleko idących poświęceń w tym kierunku: czuje ona wagę dekoracji narodowej. Rozgrywa swe sztuki partyjne w kostjumach narodowych.

Realiści godząc się w swych prądach ugodowych z socjal-demokracją, łączą się jednocześnie całą szerokością swej polityki z Endecją dzisiejszą: lecz w takim razie, skąd pochodzi owa między nimi waśń nieustająca, której ostatnim przejawem jest choćby ta wspomniana broszura R. Dmowskiego? Oto waśń rodzi się stąd, że Endecja przyjęła za swoje wszystkie dogmaty ugodowców, natomiast ci ostatni nie chcą przyjąć jej terminologji, jej demagogicznego języka. Endecja zaś chętnieby się zrzekła i języka i swoich dekoracji, gdyby te nie były najściślej związane z jej pochodzeniem, z genezą jej siły. Endecja narodziła się pod znakiem wojny z ugodą. A nawet pod znakiem gilotyny dla ugodowców. Napróżno Endecja dzisiejsza się zarzeka, że owa gilotyna to tylko dekoracja: realiści nie znoszą widoku gilotyny... nawet w rupieciarni. Gotowi są endeków przyjąć, ale na warunkach... kapitulacji. Stąd płyną owe długotrwałe dąsy, podczas których obie strony gorąco sobie dopiekają, aby się przekonać nawzajem, jakby gorąco mogły się kochać.

Jeżeli chodzi o stronnictwo, które przeciwstawia się Endecji stanowczo i rzeczowo, to, na pozór, stronnictwem takim wyda się Secesja lub Fronda narodowo- demokratyczna. Istotnie: oba te odłamy narodziły się z opozycji przeciwko macierzystemu pniowi Endecji. Ich racją bytu jest zwalczanie Endecji. I walczą zapamiętale. Ale... walczą metodą endecką. Wyłamawszy się z karbów dawnego stronnictwa, zajęli nowe placówki, ale broń zatrzymali przeważnie dawną i dawną strategję (zwłaszcza w dziedzinie stosunków społeczno-kulturalnych).

D. n.

Skry.

Cnota jest rzeczą bardzo drogą, a równocześnie nie popłaca. Jak natomiast przepysznie rentuje... tania nieuczciwość.

***

W pisarskim fachu najtrudniej przebaczyć koledze — talent.

ST. ROMANOWSKI.

Cui bono?

Gdy paryski *Matin* przed kilku tygodniami wyśpiewał pean na cześć biurokracji rosyjskiej, było to faktem znamiennym, lecz najzupełniej zrozumiałym.

Skoro jednak peany podobne intonuje wobec społeczeństwa polskiego *Gazeta Warszawska*, to fakt ów nie przestając być znamiennym, nabiera jednocześnie charakteru niezwykłej zagadkowości.

Czyżby genjuszowi p. Sazonowa udało się pozyskać zbawczy aljans *Gazety Warszawskiej?*

Rosji zagraża militaryzm niemiecki i ekspansja austrjacka. Pan Dmowski może tedy postanowił „zagrozić" Niemcom i Austrji? Czyżby więc na tym tle?...

Faktem jest, że *Gazeta Warszawska* niezmrużonym okiem czuwa nad *prestige*'em dyplomacji rosyjskiej.

Jednego dnia czytamy: „Rosja w zadziwiająco prędkim czasie doprowadziła swój olbrzymi budżet do równowagi" — „wytężona praca w dziedzinie militarnej przyniosła oczekiwane (*przez Endecję?!*) owoce" — „przemysł państwa rosyjskiego przeżywa okres wyjątkowego rozwoju i pomyślności" — w społeczeństwie rosyjskim wzrasta niewątpliwie *(Endecja nie wątpi!?)* poczucie siły i potęgi państwowej" — „odbudowanie marynarki rosyjskiej jest dopiero rozpoczęte, ale... szeroki program rządowy... epokowej doniosłości reforma agrarna... praca wewnętrzna kierowana przez biurokrację"... etc. etc.

A zaraz nazajutrz: „Państwo rosyjskie weszło w okres rozwoju" — „siły konstruktywne biorą górę nad siłami rozkładowymi" *(Goremykin i Kasso nad Kokowcewem?!)* — „reforma agrarna" — „walka z pijaństwem" etc. etc.

Wreszcie sens moralny: „Zaznaczone fakty (*zwłaszcza walka z pijaństwem?!*) w nowym zgoła świetle stawiają kwestję polską", — etc. etc.

Jak widzimy, t. zw. Narodowa Demokracja zapędza w kozi róg najgorętszych patrjotów wielkorosyjskich, otwiera im oczy na blask i siłę ich gospodarki. Każe im śpiewać: hosannah! Najżarliwsi patrjoci wielkorosyjscy nie mogą w podtrzymywaniu *prestige*'u Rosji dorównać „Endecji". Ich nie zachwyca np. „równowaga budżetu", gdyż widzą, że wspiera się ona na ruinie sił moralnych i materjalnych narodu: na epidemji alkoholizmu. Małoduszni! czemuż nie pójdą w szkołę do *Gazety Warszawskiej?* Ona zadeklamowałaby im zapomniany już przez nich wszechsłowiański hymn Puszkina:

Od murowanej chińskiej ściany
Aż do Karpackich gór rubieży
Lasem bagnetów się zajeży
Ziemia rosyjska!...

Czyżby *Gaz. Warsz.* chciała Rosję samą uczyć jak trzeba wierzyć w Rosję? Jak twardo trzeba przy swej wierze stać?

„Endecja" bowiem nie poprzestaje na stwierdzaniu potęgi Rosji: ona ją głosi; ona potęgę Rosji apostołuje i opiewa. I to właśnie zawsze mierzić będzie duszę każdego prawego Rosjanina, jak każdego wogóle prawego człowieka, któremu na patrjotyzmie nie zbywa, że lekcję patrjotyzmu chce mu dawać ktoś, kto się własnej sprzeniewierzył sprawie. Że mu ewangelję patrjotyzmu chce czytać ktoś z księgi własnego upodlenia. Że go o swym zapewnia lojalizmie ktoś, kto ma honor tylko taki, na jaki mu czyjś obcas cudzy pozwoli. Że mu przymierze ofiaruje — serwilizm!... Że doń bratnie ramiona wyciąga — żebrak.

Przykro to mówić, ale powiedzieć trzeba: w ciągu ostatnich stu lat historji spiętrzyło się wokół nas wiele nienawiści w obozach naszych nieprzyjaciół: w prądach tej nienawiści jednak mężnieliśmy, jak w hartującym ogniu. Dopiero „Endecja" zabiegając u obcych drepcąc i pełzając, wyjednała nam... pogardę.

Dziś tylko krótkowzroczni wrogowie nas nienawidzą. Roztropniejsi — upokarzają nas pobłażaniem. Pan Hurko lub pan Markow w ślepym uniesieniu chcą wytracić do cna język polski z samorządu. Pan Kokowcow jednak wiedział, że byłaby to srogość zbyteczna. „Pocóż mamy — pytał on — zabraniać Polakom języka ojczystego? Nie zabraniajmy: po latach dziesięciu sami o nim zapomną!" — To zdanie obwieszczono w prasie „endeckiej" jako tryumf polskości. Tryumf? Bez wątpienia: wyrozumiała pogarda łaską swoją ocaliła nas... na całe dziesięciolecie.

Każdy biurokrata w oczach „Endecji" staje się mężem opatrznościowym. Kto w jego misję nie wierzy, ten składa dowód, że jest umysłem apolitycznym. Ażeby jednak biurokracja mogła swemu posłannictwu sprostać, musi być popierana przez „Endecję". Tymczasowa chmurka na polskim niebie pochodzi stąd, że ministrowie jakoś nie chcą tej konieczności zrozumieć. Znak to, że nie są jeszcze dość głębokimi patrjotami; stąd wniosek: w ministrach wyrabiać trzeba patrjotyzm wielkorosyjski. Trzeba budzić w nich poczucie jednolitości państwowej. W tym celu najłacniej da się użyć rola przedstawicielstwa polskiego w Dumie. Cała Europa powołuje się na stanowisko „Koła Polskiego" w Petersburgu, jako na żywy dowód abdykacji narodu ze wszelkich poważniejszych dążeń politycznych. To jest zjawisko dla „En-

decji“ bardzo pocieszające. Wszakże tego niedość. Nie można zatrzymywać się wpół drogi. Trzeba „Koło Polskie“ ugiąć, sproszkować i zamienić na klej między Rosją a Polską.

Niemniej czuwa „Endecja“ nad chwałą biurokracji miejscowej. Senatowi petersburskiemu nie wszystko się w niej podoba: niedawno delegował on rewidenta celem przetrzebienia nadużyć rozmaitych w zarządzie. Endecji podoba się natomiast wszystko. Co więcej: zazdrośnie strzeże swego wyłącznego prawa w gloryfikowaniu miejscowych potentatów. Świeżo np. *Gazeta Warszawska* rozdąsała się na Marjawitów, iż ci zdystansowali ją w wyrazie uznania i czci dla jednego z dostojników.

Powtarzamy raz jeszcze pytanie: poco te *prysiudy?* Te cukrowe słówka? Te miny? Te pochlebstwa? Przeznaczone ku temu, aby się Rosjip rzypodobać, w rzeczywistościmogą one tylko polityków wytrawniejszych w Rosji obruszyć, mniej wytrawnych rozśmieszyć.

Cui bono?

Poco *Gazeta Warszawska* flirtem swoim niedorzecznym wciąż Rosjan drażni i obraża? Poco śród nich najszlachetniejszych obraża swą niewolniczą pokorą, pokorą narzutliwą, usiłującą mistrzować komuś nieproszonym wścibstwem? Czyż Rosjanie nie zasługują od nas na nic innego, prócz wyrazów pochlebstwa? I czyż dopiero z *Gazety Warszawskiej* mają zaczerpnąć tchu wielkości dla swej państwowej piersi? Czyż uwierzą w to, że jakiś Dmowski nie szydzi z nich, gdy im się nastręcza w roli wtórego Piotra, wyrąbującego nowe okno do Europy? Czyż *Gazeta Warszawska* ma tak nizkie pojęcie o patrjotyzmie rosyjskim, iż sądzi, że najsmakowitszą dlań karmią bywa widok poniewierki polskiej? że stoi on na mocnych nogach tylko wtenczas, gdy mu się godność polska pod stopy podściele?

„Endecja“ robi z siebie teoretyków patrjotyzmu rosyjskiego; ale robi to w sposób lichy płytki, jak licho i płytko ongi „robiła“ patrjotyzm polski. „Endecja“ patrjotyzm zasadza, ni mniej ni więcej tylko na niedorzeczności: patrjotą mieni ona tego kto jest o losy swego kraju spokojny. Patrjotyzm w jej ustach znaczy tyleż, co cielęcy optymizm. Tą drogocenną filozofją, którą przez czas pewien uwodzono Polskę, chce teraz Endecja ofiarować Rosji, jako zadatek wspólnej świetnej przyszłości. „Endecja“ ma nadzieję, że sprzeda wyrób swój za gotowkę: nie z gołą ręką przecież idzie ku Rosji, ale z wawrzynem dla nowego ministra (*siły konstruktywne w Rosji zdają się brać górę nad rozkładowymi)*: jakżeby tedy nie miała odnieść zasłużonej nagrody? I nagrodę otrzymuje, tylko całkiem inną, choć dobrze zasłużoną: śmiech i politowanie.

Ale jeszcze gorszy obrót rzeczy biorą wówczas, gdy „Endecja“ miast swego „uznania“ i „poparcia moralnego“ chce ofiarować Rosji pomoc czynną: czy to w walce z Austrją, czy z Prusami, czy wreszcie z wrogiem wewnętrznym. Nastręczają się bowiem wtedy z nieubłaganą koniecznością dwie przykre alternatywy.

Albo pomoc ofiarowana nic nie jest warta: w takim razie „Endecja“, imieniem polskim czyniąca rządowi propozycje pomocy, naraża siebie, a co gorsza i naród cały, na kopnięcie: „Szut gorochowyj!“ — rzekł Witte o p. Dmowskim, gdy tenże polecał mu swe usługi w tłumieniu rewolucji.

Albo też pomoc polska przedstawiałaby dla Rosji pozycję, mogącą istotnie zaważyć na szali. Wtenczas atoli nieuniknionym odruchem, biurokracja tylko cofnąćby się mogła ze zgrozą i zdumieniem przed niespodziewanym aliantem: wie ona dobrze, że taki aliant jedynieby ją wobec Europy szachował. Ponadto zaś rozumie, że w lepszym położeniu od tego, kto ma sprzymierzeńców, bywa ten, kto sprzymierzeńców nie potrzebuje.

„Koło Polskie“ raz jeden tylko poważyło się dać Rosji odczuć swój atut względny, atut parlamentarny jedynie, i, nadomiar, bezwarunkowo lojalny, uległy i do głębi przychylny (głosowanie w 2-ej Izbie za uchwaleniem rekruta), — i jakże srogo musiała swą ofiarną odwagę przypłacić! Dwiema trzecimi swego własnego składu!

Kto więc przed Izbą Państwową, czy przed gabinetem ministrów, staje imieniem Polski z propozycją jakiejkolwiek dobrowolnej ofiary, w nadziei wyświadczenia bądź Rosji, bądź Polsce dobrodziejstwa, ten Rosji wspaniałomyślnością nie zaimponuje, na swój zaś naród ściąga urągowisko i wzgardę, albo budzi alarmy i — nowe represje.

Jakiego zaś rodzaju owoce trzęsie „Endecja“ z drzewa swej polityki na grunt Królestwa o tym pisaliśmy niejednokrotnie.

Tchórzostwo, oportunizm, małoduszność, skarlenie dążności zbiorowych społeczeństwa w stosunku do najwyższych ideałów narodowych: oto są bezpośrednie echa, którymi w kraju odbijają się dalekie, nad Newą składane pokłony

W takiej chwili *Gazeta Warszawska* mówi o Polakach w Królestwie, jako „o narodzie, który od wieku po raz pierwszy uzyskał możność jakiej takiej organizacji społecznej i politycznej“.

Są-ż to drwiny ze swego narodu, czy też pocałunek, wyciśnięty na ręce stójkowego?

W chwili, gdy niemal wszystkie stowarzyszenia oświatowe zostały rozwiązane, gdy autonomja skonała przed poczęciem, a samorząd przepadł przed narodzeniem, w takiej chwili twierdzić, że „naród zyskał po raz pierwszy możność jakiej takiej organizacji społecznej i politycznej“, znaczy to składać całe „Królestwo Kongresowe“ (1815—1830) wraz z jego siłą, sejmem i ideą u stóp... Hurki i Stiszynskiego.

Cui bono?

I. MOSZCZEŃSKA.

Polska etnograficzna.

Zamieszczając poniżej głos polemiczny w sprawie «Wskazań», na łamach *Prawdy* podanych przez p. C. Jankowskiego, uważamy go za przyczynek cenny do sprawy niesłychanie ważnej: zorjentowania się w granicach ojczyzny. Wszelako wartość artykułu poniższego zasadza się zdaniem naszym nie tyle na momentach opozycji zasadniczej przeciw p. Jankowskiemu zwróconej, ile na momentach po części zdanie jego uzupełniających, po części prostujących.

Redakcja.

Zjawiska polityczno-historyczne są nietylko niesłychanie skomplikowane lecz zarazem niezmiernie płynne. Każde z nich jest dalszym ciągiem jakiegoś wiekowego procesu i punktem wyjścia nowych przeobrażeń, dlatego też wszelkie polityczne wywody i programy winny brać pod uwagę nietylko to, *co jest*, lecz to, *co się dzieje*. Wszelkie inne traktowanie prowadzić może do błędów.

Takim błędem jest postawione przez pana Jankowskiego żądanie wykreślenia „ścisłych granic Polski etnograficznej“ „nie cofając się przed uznaniem np. części guberni suwalskiej za terytorjum etnograficznie litewskie, a wschodnich dzielnic Galicji za terytorjum etnograficznie rusińskie, oczywiście godząc się na wszelkie takiego uznania konsekwencje“, oraz jego program „skupienia“ a raczej kurczenia tej naszej etnograficznej ojczyzny.

Etnograficzne granice Polski w ciągu ostatniego stulecia podlegały ogromnym zmianom, a w obecnym czasie proces ten nietylko wcale się nie zatrzymał, lecz dokonywa się w niesłychanie szybkiem tempie. Dzieje się to pod wpływem czynników od nas niezależnych ale także i świadomego na nie z naszej strony oddziaływania, żywiołowej ewolucji i rozmyślnej akcji politycznej. Wygłoszenie hasła skupiania lub zgęszczania wcale nie jest obojętne dla tego procesu a w wykonaniu da nie rezultat zamierzony lecz wypadkową z sił od nas zależnych i niezależnych. Ponieważ kurczenie nie napotyka na żadne przeszkody, przeciwnie jest przez wszystkie zewnętrzne czynniki popierane, natomiast zgęszczaniu i skupieniu stają na przeszkodzie zarówno żywiołowe siły jak celowe akcje, — z góry można przewidywać, że tylko pierwsza część tego programu wykonaną zostanie.

Wymaga to bliższego objaśnienia.

W okresie poprzedzającym upadek Rzeczypospolitej, przed drugim rozbiorem, Polska prawie równała się rozległością powierzchni Francji, (9438 mil geogr.) ludność zaś jej wynosiła 8,790000 głów. Francja zaś na obszarze cokolwiek większym (9822) posiadała 26 mil. mieszkańców. [1])

Nie bez racji zauważyć tu można, że ówczesne tyrytorjum Rzeczypospolitej przekraczało granice etnograficzne Polski choć miejscami ich niedosięgało, nie obejmowało bowiem Górnego Szlązka i niektórych rdzennie polskich dzielnic zagarniętych przez Prusy i Austrję, natomiast zawierało nietylko już wyodrębnioną przez pana Jankowskiego gub. Suwalską, lecz Litwę, Ukrainę, Wołyń, Podole, — to jest te „kresy“, do których zdaniem jego żadnych niepowinniśmy rościć pretensji. Inna rzecz, czy etnograficzny charakter tych krajów był wówczas taki sam jak obecnie. Kołłątaj na początku dziewiętnastego wieku w *Uwagach nad księstwem Warszawskiem* dowodzi etnograficznej jednolitości ziem polskich powołując się na fakty, dla nas bardzo ciekawe, tem bardziej że dziś możemy stwierdzić ich znikomość. „W kraju, który dawniej zwaliśmy województwem ruskiem, lud pospolity najpiękniejszą mówi polszczyzną“.

„W mieście Wrocławiu mowa niemiecka i polska są wspólne mieszkańcom, tak dalece, że nawet nabożeństwa odprawiają się w obu językach dla wszelkich wyznań. Djalekt szlązkiej mowy jest djalektem sieradzkim“. Powołuje się też na świeże wtedy przykłady z kampanji pruskiej Napoleona, kiedy to nietylko w Zachodnich lub Wschodnich Prusach oficerowie przekonywali się, że lud miejscowy wcale nie znał niemieckich nazw wsi, miast i osad notowanych na mapach, gdyż nazywał je po swojemu, czyli po polsku. Dowodziłoby to wbrew powszechnemu dziś mniemaniu, że język polski nie był

[1]) Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski.

wówczas wyłącznie mową szlachty zamieszkującej te odległe krańce wschodnie i zachodnie lecz rozbrzmiewał także w ustach ludu na znacznie większej przestrzeni niż obecnie. Ponieważ zaś niema innych sprawdzianów etnograficznego składu ludności jak mowa, musimy przyjść do wniosku, że polski obszar etnograficzny czysty i mięszany był przed stu laty kilkakrotnie rozleglejszy niż ten, na którym nam obecnie radzą się skupić. Jeżeli się zgodzimy na to, że owe niespełna 9 miljonów mieszkańców Rzeczypospolitej, o których mówi Korzon, zawierały dość znaczną niepolską przymieszkę, to z drugiej strony pod panowaniem mocarstw rozbiorowych po r. 1773 znalazło się blizko 4 miljony jej dawnych poddanych, wśród których procent Polaków był również znaczniejszy niż obecnie w tych samych dzielnicach. Przypuśćmy więc, że ogólna liczba Polaków przed zupełnym upadkiem państwa wynosiła mniej więcej 8 miljonów rozmieszczonych na obszarze równającym się współczesnej Francji.

W ciągu stulecia, które minęło od owego czasu, rozmiary Francji zmieniły się tylko nieznacznie a ludność jej wzrosła do 39 miljonów.

Liczba Polaków potroiła się a równocześnie granice etnograficzne Polski, tak jak je w przybliżeniu zakreśla pan Jankowski, skurczyłyby się do swej trzeciej części. Francja skarży się wprawdzie na brak naturalnego przyrostu, nie uchodzi jednak za kraj bezludny.

Przeciwnie jest gęściej zaludniona niż niektóre dzielnice dawnej Rzeczypospolitej i to takie właśnie, których skład etnograficzny, najbardziej zmienił się na naszą niekorzyść, a to zarówno na zachodnich jak i na wschodnich kresach. Możnaby stąd wyprowadzić wniosek, że zacieranie polskiego charakteru tych krajów szło w parze ze zwolnieniem naturalnego procesu zagęszczania ludności.

Nawet najelementarniejsza znajomość dziejów naszego narodu w ciągu ubiegłego stulecia wystarcza dla zrozumienia, jak silnie działały czysto polityczne czynniki na wytrawienie żywiołu polskiego na krańcach dawnych ziem polskich, na skurczenie etnograficznego obszaru Polski.

Kto nie zechce cofać się myślą w przeszłość, temu i chwila obecna nastręcza pole do pouczających obserwacji.

Z dnia na dzień możemy obserwować proces owego kurczenia granic na Chełmszczyźnie, w Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Mamy także sposobność śledzenia procesu skupiania i jego rezultatów.

Łatwo powiedzieć, że dziś 24 miljony Polaków powinny się całkowicie i bez reszty zmieścić na przestrzeni kilkakrotnie mniejszej niż ta, którą dawniej zamieszkiwało 8 miljonów, ale trudno takie mrowisko w obecnych warunkach utrzymać przy życiu, nie mówiąc już o jakim takim poziomie dobrobytu i kultury.

Przestrzenie, stanowiące najczystszy etnograficznie obszar Polski, należą zarazem do okolic najgęściej zaludnionych w Europie, a w stosunku do uprzemysłowienia kraju stanowią pod tym względem niejako unikat. Przeludnienie na roli idzie zawsze w parze z silnym prądem emigracyjnym, to też ze wszystkich ludów europejskich Polacy obok Włochów dostarczają najliczniejszego zasobu wychodźców.

Powstrzymanie emigracji byłoby bezwarunkowem zwiększeniem nędzy, a ktokolwiek porówna skalę życia naszego robotnika rolnego lub fabrycznego z robotnikiem tych krajów, do których fala emigracyjna odpływa, nie może się rozgrzeszyć na żądanie, by on jeszcze redukował swe nieprawdopodobnie nizkie potrzeby. Nędzarze w angielskich przytułkach zarobkowych żywią się i mieszkają lepiej niż nasi parobcy wiejscy lub proletarjat miejski.

Jedni Polacy zdobywają na obczyźnie chleb, inni ziemię, której w kraju ojczystym nie mogliby posiąść. W ostatnich latach ruch parcelacyjny posuwa się u nas tak szybko, że już w sferach ziemiańskich dzwonią na alarm, bo większa własność zanika i traci znaczenie w społeczeństwie. Równocześnie z tem ceny ziemi rosną nieproporcjonalnie do dochodów z ziemi. Czyż wobec tego można poważnie traktować wskazanie, aby Polacy wyprzedawali swe posiadłości, tam gdzie ziemia tania i gdzie jej jest w stosunku do ludności nadmiar, a okupywali się tam, gdzie jest droga i gdzie na niej jest przeludnienie?

Wprawdzie nie o ziemskiej, lecz o miejskiej posiadłości mówił pan Jankowski z największym naciskiem, gdyż w jego oczach nabycie jednej kamienicy w Warszawie jest patryjotyczniejszym czynem, niż „tkwienie z pełną kabzą w mińskich błotach lub gdzieś pod Kołomyją“. Trudno to jednak pogodzić z hasłem skupiania się. „Pełna kabza“ w polskim posiadaniu powinna przedewszystkiem tworzyć warsztat pracy dla polskich rąk, żywić polskie żołądki, zdobywać warunki istnienia dla Polaków, a tego bynajmniej się nie osiąga przez śrubowanie do zawrotnej wysokości ceny warszawskich kamienic. Zresztą marzenia o tej „zawrotnej wysokości“ są poprostu chimerą. Stopa komornego ograniczona jest nietylko stosunkiem zaofiarowania do zapotrzebowania, lecz skalą pieniężnej zasobności lokatorów. Nikt nie może płacić więcej niż ma, a już dziś widzimy coraz tłumniejszą ucieczkę warszawiaków w okolice pod-

miejskie hamowaną tylko absolutnym brakiem elementarnych wygód życiowych, komunikacji i bezpieczeństwa osobistego w okolicach Warszawy.

W warunkach obecnych Warszawa poprostu dusi się w obrębie rogatek, tak jak lud polski dusi się w swych ciasnych etnograficznych granicach. Trzeba mu miejsca, trzeba mu przestrzeni, a gdy ich nie może znaleźć ani na ziemi rodzinnej, ani w jej pobliżu, szuka ich tam, gdzie jej dostać może obficie i z łatwością

W granicach dawnej Polski, tej już nie etnograficznej, znalazłoby się jeszcze sporo miejsca dla polskiego osadnika, lecz to zabiera mu osadnik obcy, z trudem ściągany z tych narodów, które bądź to jeszcze nie wytwarzają nadmiaru ludności i nie emigrują, bądź też już go wytwarzać przestały.

Na Chełmszczyźnie ziemia parcelowana jest między chłopów prawosławnych; na Litwie do niedawna Polakom nie było wolno jej kupować; teraz ją wyprzedają z własnej woli ale nie polskiemu chłopu.

Natomiast na bardzo przystępnych warunkach otrzymuje on ziemię w Brazylji, Kanadzie — ba! nawet w Irkuckiej guberni. Na Daleki Wschód, i na daleki zachód wożą go darmo lub w pół darmo, byleby w kraju nie został, a tu — jeśli i dorwie się kawałka gruntu, to musi go nabywać po cenie aksamitu.

I oto daje się obserwować ciekawe zjawisko w rozmieszczeniu żywiołu polskiego. Wypierany ze swych dawnych siedzib, które już naszym patrjotom wydają się dziś na zbyt rozległe, tworzy coraz obszerniejsze kolonje poza jej granicami. Ubywa go w Poznańskiem, rozsiada się w Westfalji. Zanika na Litwie i Białej Rusi, obejmuje obszary w guberni Smoleńskiej, w Kurlandji, tworzy kolonje fabryczne w głębi Rosji lub osiedleńcze na Syberji W miastach Amerykańskich, w brazylijskich lasach powstają polskie szkoły, polskie stowarzyszenia, odbywają się polskie sejmy i obchody, ale w Poznaniu nie wolno publicznie mówić po polsku i nie wolno dzieciom szkolnym uczyć się polskiego katechizmu. Tuż nad granicą Królestwa Polskiego, na Mazurach pruskich tylko już starsze pokolenie między sobą posługuje się polskim językiem — do dzieci własnych jednak już po niemiecku się zwraca.

Żywioł polski znajduje się obecnie w fazie silnego naturalnego rozrostu a równocześnie w okresie największego politycznego nacisku.

Zamiast się rozszerzać, rozkrzewiać rozlewać w swem odwiecznem i naturalnem geograficznem łożysku, rozpryskuje się po całej powierzchni kuli ziemskiej. Wypierany ze swych etnograficznych granic i obwiedziony niemal dokoła obszarami mało zaludnionemi stanowiącemi dla niego normalne ujście, stanowią w centrach swej ojczyzny mrowisko nędzarzy eksploatowane tak dalece, że na obczyźnie mieni dobrobytem to, co ludność tamtych krajów nazywa nędzą.

Tkwić w mińskich błotach czy pod Kołomyją z pełną kabzą, nie jest czynem patrjotycznem, ale nie jest nim również nabijanie kabzy wyśrubowanymi do „zawrotnej wysokości“ dochodami z warszawskiej kamienicy. Ale tu czy tam posługiwanie się polskim kapitałem dla tworzenia warsztatów polskiej pracy, zdobywanie przestrzeni i powietrza dla polskich piersi i rozszerzenia etnograficznych granic żywiołu polskiego i tak już nad miarę ścieśnionego mogłoby być, zaiste czynem obywatelskim.

M. MALINOWSKI.

Apelacja do sądu — czytelnika.

Użyczcież mi w odrodzonej *Prawdzie* małego bodaj kącika do rozważań, którymi pragnę apelować do sądu czytelnika... niech powie: kto ma słuszność.

Wszak tyle dziś zamętu, tyle dziwnego nieraz uporu w kłamaniu przed społeczeństwem i nawet przed samym sobą, byle tylko utrzymać pozory słuszności dla swego partyjnego, jakiegoś złowrogiego, wstecznego i uwsteczniającego, zabijającego życie stanowiska.

Niedawno Swiętochowskl surowo osądził Poznańskie. że w polskości tamtejszej niema już siły tworzącej.

Za sąd taki został Świętochowski potraktowany, jak płytko myślący reporter. Potraktowali go tak „działacze“ i „pisarze“ poznańscy w „obronie“ partykularnego swego patrjotyzmu, wstecznictwa i niemocy...

Pozwolę sobie i ze swojego skromnego życia podać przykład, rzucający światło na te nasze polskie stosunki.

W roku 1906-tym byłem na zebraniu kółek rolniczych w Poznaniu. Obrady, odczyty, przemówienia — cały nastrój zgromadzenia były tam sztuczne, pełne poloru tej złowieszczej nieszczerości, ktora świadczy, że nie wielkie budowanie odbywa się w tym wszystkim, ale przechwałki bankruta, który mówi o swej sile, a sam w nią nie wierzy, a jeżeli wierzy, toć biada mu... Rozmawiałem tam wówczas z wieloma działaczami i złowieszczo raziły mnie w nich oznaki mickiewiczowskiego scharakteryzowania *„ludzi epoki przeszłej, niezdolnych do zapału, ludzi warstw zwiędłych, rzeczywiście niższych, mających górę i gniotących wszystko, co jest przyszłością narodu“*...

Byłem tam po wsiach, obcowałem z ludem, zwiedzałem jego gospodarstwa, gospody, uczestniczyłem w życiu publicznym.

W kilka miesięcy potym, w polemice z p. Wyganowskim, który w r. 1906-ym wytężał zabiegliwość swoją, iżby na nasz grunt przeszczepić istotę życia kółek poznańskich, w Nr. 27 i 28 „Przeglądu Polskiego“, zastępującego chwilowo „Zorzę“, pisałem:

„Byłem w Poznańskiem kilkakrotnie, bywałem tam na walnych zebraniach Kółek w Poznaniu, na zebraniach poszczególnych Kółek na wsi, zwiedzałem gospodarstwa, obory, obcowałem z członkami Kółek, z prezesami ich (włościanami) i oto zawsze wynosiłem takie wrażenie: w domach, w oborze, w stajni, na polu, w całym gospodarstwie włościan polskich w Poznańskiem, w ich rozumowaniach, w duszy, w sercu, czuje się kulturę... pruską“...

Napisałem to dn. 2 sierpnia roku 1906 w „Przeglądzie Polskim“.

P. Wł. Grabski, działacz poznański, napisał wtedy „obalenie“ mego twierdzenia i wydrukował je w warszawskiej „Gazecie rolniczej“. W „obaleniu“ tym było wszystko, co ma w sobie bankrut, umiejący przed nieświadomymi rzeczy z „honorem“ bronić honoru swojej „roboty“.

„Obalenie“ to pragnąłem obalić faktami, mojem zdaniem, mogącymi przemawiać do wyrozumienia, że... przestańcie, panowie, bo się źle bawicie. Ówczesna redakcja „Gazety rolniczej“ obalenia i wywodów moich, do jądra kwestji sięgających, nie wydrukowała.

Dziś po wszystkich pismach rozbrzmiewają nawoływania świeżo powołanej do życia Rady Narodowej w Poznaniu.

Oto zarząd tej instytucji, pastawionej na straży spraw narodowych pod zaborem pruskim, pisze co następuje:

„*Starzy i młodzi* (w obrębie działania poznańskiej Rady Narodowej) *chociaż jeszcze w życiu potocznym posługują się mową ojczystą, już przestają czuć i myśleć po polsku*“.

W roku 1906-ym w Nr 28 „Przeglądu Polskiego“, mówiąc o wsi polskiej, pisałem, iż nawskroś przesiąknięta jest kulturą pruską i oto ani tamtejsi panowie patroni wszelkiego stopnia, ani tamtejszy kler polski nie uchronił przed tym ludu polskiego. Tak.

Za szczere moje w owym czasie zwrócenie uwagi na zło spostrzeżone, zostałem tu obrzucony wszystkimi zarzutami, wyłączającymi mnie ze wszystkiego, co jest narodowe, polskie.

***

Obecnie Rada Narodowa zaboru pruskiego szuka ratunku w oświacie.

„Oto narodowości naszej (pod Prusakiem) grozi największe niebezpieczeństwo z powodu braku oświaty“.. — pisze ona.

I przeznacza Rada Narodowa 34 tys. marek na szerzenie tej zbawczej oświaty. Dobrze czyni, choć nazbyt późno; trudniej o wiele odrobić, co złego uczyniła już duszy polskiej nie tyle może kultura pruska, ile niedbalstwo nasze, iż nie potrafiliśmy dotąd przez oświatę rzetelną równoważyć czynnikiem kultury polskiej, by pruska nie była w stanie wziąć góry. Bywamy mądrzy po szkodzie.

A może się przyda w tej materji przytoczyć, co w № 28 ym *Przeglądu Polskiego* w tymże r. 1906-ym pisałem o tem, co w Poznańskim z łaski sfer patronujących ludowi polskiemu dawało oświatę i kulturę polską.

„Podróżując po Księstwie Poznańskim, zaglądałem po wsiach do czytelń, które tam zakłada „T-wo szkoły ludowej“. Wszystkie czytelnie mają tu jednakowe książki.

„Owóż w biliotece, przechowywanej u p. Jana Królaka, prezesa Kółka w Szymborzu, pod Inowrocławiem znalazłem... klechdy i baśnie, jakie tylko napisał Kraszewski, a dalej jego powieści, gawędy i powiastki, jego i najrozmaitszych pisarzów i pisarek opowiadania i gawędy ze starych książek, żywoty Świętych (o św. Wojciechu znalazłem tu pięć różnych książeczek), ale... nawet historji Polski dobrej nie znalazłem tu, bo przecież napisanej przez Marjana z nad Dniepru, co dzieje do swoich widoków klerykalno-katolickich nakręcał, dobrą nazwać nie można. Kiedym p. Królakowi pokazał książkę „Z biegiem Wisły“, to aż mu się oczy zaiskrzyły. On takiej nie miał i nie wiedział o istnieniu jej. W bibljotece jego geografji Polski nie było, a już o naukach przyrodzonych lud tamtejszy nie wie więcej nad to, czego się w pruskiej szkole nauczył. O ekonomji politycznej i społecznej pojęcia niema. W roku 1898-ym rozesłano do bibljotek coś 20 nowych książek (baśni, klechd, powieści) a wśród nich jedną tylko, i to bardzo słabo napisaną, broszurkę z wiadomościami przyrodniczemi. Nawet wydawnictwa warszawskie Brzezińskiego i t. p. wśród ludu nie są tam znane“.

Jeżeli Rada Narodowa poznańska taką oświatę za asygnowane przez się 34.000 marek będzie krzewiła, to... duch Bismarka serdecznie się ucieszy.

A bodaj że innej oświaty lud poznański nie otrzyma, sam zaś do sięgania po właściwą usposobiony nie jest, bo... po co chłop ma czytać; zacząłby myśleć samodzielnie, rozumować i „patronom“ wytykać: panowie, bo się źle bawicie; wam idzie o zabawę, a narodowi polskiemu o życie...

Ale to uwaga na marginesie. Może ją kiedyś ktoś przytoczy, jak ja dziś, pełen żalu do poznańskich działaczów, swoje z r. 1906 muszę oto rehabilitować powyższym wyjątkiem z odezwy Rady Narodowej.

We wtorek d. 3 b. m. w lokalu Polskiego Zjednoczenia Postępowego odbyło się zgromadzenie ogólne członków, na którym dokonano wyborów do Rady stronnictwa oraz do Komisji Rewizyjnej. Do Rady wybrani zostali pp. Brunn, Gabszewicz, Girtler, Hummel, Jabłoński, Kalicki, Lemański, Łypacewicz, Pawlikowski, Potempski, Rzymowski, Świętochowski, Tyszka, Waydel, Życki.: Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali pp. Hawelka, John, Piętowski.

GROMICZ.

Czy są w Polsce — socjaliści?

Z CYKLU: «ZNAKI ZAPYTANIA»

5.

Dokoła tego pnia, który zresztą z prawdziwym socjalizmem niewiele ma wspólnego, układają się dopiero kręgi bliższych lub dalszych „sympatyków“. Sporo tu „maminych synków“ dla których pobyt w konspiracyjnym podziemiu przedstawia taki sam urok, jak nocna jakaś eskapada z chórzystkami teatru Nowości; są panienki o tkliwym serduszku i wezbranych źródłach poświęcenia, moc wreszcie nieprzebrana różnych narwańców, oryginałów, neurastów, degeneratów i szastających się luzem po świecie osobników.

To wszystko z lubością ociera się dziś o „socjalizm“, a jutro ocierać się będzie o spirytyzm, okultyzm, buddyzm, kubizm, czy futuryzm.

„Sympatycy“ dzielą się na *chwilowych* i *dozgonnych*.

Wielu z nich bowiem „przemija“; przeminęli np. bankierzy i kupcy żydowscy kiedy wyszło na jaw, że socjalizm, nakształt niewypłacalnej firmy, nie jest w stanie dotrzymać swoich zobowiązań; przemijają panienki tkliwe, bo wyszedłszy za mąż wolą „poświęcać się“ w rodzinnym już kółku, szybko zbliżając się do nieśmiertelnego typu pani Dulskiej; odchodzą burzliwe, nadziei pełne, młodziany, ten ku zyskownej posadzie, ów zaprzęgnięty w życiowy kierat lub na ślizkie zbłąkany manowce.

6.

Notujemy tu kilka ciekawszych odmian „sympatyków“.

I. *Socjal-arystokraci.* Rzucone na bruk miejski rozbitki rodzin szlacheckich, poprzez cienką i rzadką warstwę mieszczaństwa, nie zatrzymując się na stopniach pośrednich, opadli aż do nizin społecznych, wnosząc w ideologję „czwartego stanu“ pańską nienawiść do „burżuazji“ tudzież wiele kastowych, staroszlacheckich uprzedzeń i nałogów.

II. *Socjal-dandysi* wyróżniają się od niechlujnego zazwyczaj otoczenia poprawnym krojem odzieży, staranną fryzurą i gładkim obejściem. Rekrutują się ze sfer ziemiańskich i burżuazyjnych. Zajmują „klasowe stanowisko“ po kawiarniach, których są gorliwymi gośćmi. Typ programowych próżniaków. Żadna praca w „obecnych warunkach“ nie wydaje się im godziwa; z wielką niedbałością i z niemniejszym komfortem żyją na koszt najbliższej rodziny lub bogatych krewnych. Prawią dużo o rewolucji, ale nikt im nie wierzy. Socjal-dandys, który „bawił“ przypadkiem na Pawiaku lub w X-ym pawilonie, twierdzi później, że ma życie „złamane“ i gotów do śmierci nosić koronę cierniową razem z cylindrem na głowie. Gotów ją też porzucić, skoro uzna, że mu w tym nie do twarzy.

III. *Socjal-ugodowcy* są kosmopolitami nizin, jak arystokraci są kosmopolitami szczytów społecznych. Biorą w naiwności swej za dobrą monetę hasło: „proletarjusze wszystkich krajów łączcie się!“ i wierzą święcie w solidarność międzynarodową proletarjatu. Gotowi zawsze przypisać winę swemu narodowi i zdjąć odpowiedzialność z obcych. W kraju nic im się nie podoba, zagranicą wszystko ich zachwyca. Wiecznie wychyleni nazewnątrz, bacznym uchem chwytają wieści z Petersburga, Berlina i Wiednia. We Francji czytują *Vorwaerts*, w Niemczech *La Guerre Sociale*, w Polsce — petersburski *Dień*. Raz w życiu widzieli Bebla i raz uścisnęli dłoń Plechanowa, którego każde słowo rozpamiętują bez końca, z pobożnym zapałem. Wyzuci doszczętnie z uczuć narodowych (o ile nie są Żydami, bo ci pamiętają zawsze o swoich ziomkach) chlubią się tym zwyrodnieniem, uważając je za wyższe stadjum rozwoju. Niektórzy zresztą zaliczają się naraz do dwóch lub trzech narodów, co im pozwala nie służyć żadnemu.

IV. *Socjal-drygałowie*, pozbawieni ponęt ciała i ducha, lubią zasłaniać szpetną swą nagość malowniczą draperją przekonań skrajnych. Nie mając ani własnych myśli, ani poglądów osobistych, lubią zdumiewać otoczenie doborem hucznych frazesów. Zajmują zawsze krańcowe stanowiska, żeby zewsząd widziano ich dobrze; nie mając własnej jaźni, pragną nadać sobie sztuczne jej pozory i dlatego szukają poglądów cojaskrawszych. Z natury rzeczy nęci ich czerwień socjalizmu, ale niechno zawita do nas *signor* Marinetti—przedzierzgną się wnet w futurystów; może nawet zaczną, jak ich petersburscy krewniacy, smarować sobie twarze sadzami i wplatać wstążki we włosy...

V. *Socjal-anarchiści* pobijają wszystkie rekordy nieprzejednania. W każdym burżuju widzą potępieńca, w każdym robotniku — burżuja. Zazwyczaj poszwankowani na ciele lub na umyśle, gotowi są świat utopić w rozlewie własnej żółci.

Gdyby zapanował jutro ustrój socjalistyczny, toby go już pojutrze znienawidzili. Zresztą,

wnet po rewolucji socjalnej, postawiono by ich rzędem pod ścianą i rozstrzelano, jako wrogów porządku publicznego. Ustrój burżuazyjny obchodzi się z nimi łagodniej, rezerwując im dłuższy pobyt w sanatorjach...

7.

To wszystko? — zapyta czytelnik z powątpiewaniem.

— Nie; oto jeszcze jedna kategorja: *socjaliści-męczennicy*, którym działaby się krzywda niemała, gdybyśmy ich z tamtymi zmieszali pospołu.

Tu się ich zresztą nie spotyka: zawierucha wytępiła ich lub rozmiotła po świecie.

Schylamy przed nimi czoło, nie żebyśmy mieli podzielać ich poglądy, lecz dlatego, że pełni jesteśmy szacunku dla wszelkich ofiar, poniesionych w imię idei. Z tego samego przecież materjału tworzył Piotr Pustelnik armje krzyżowców, co ginęli z okrzykiem: *Dio lo volt!* a nie inaczej ginęli także saraceni z pod zielonej chorągwi Proroka.

8.

Jeśli probierzem prawdy ma być śmierć, dla niej poniesiona, to prawda jest wszędzie, gdzie czerwieni się krew.

Jak prawdziwym więc był chrześcianinem Ten, co zawisł na krzyżu, podobnie prawdziwymi byli socjalistami w Polsce ci, którzy zginęli.

K. HOWORKO.

Uprzedzenia.

Żydzi twierdzą bezustannie, że świat był i jest dla nich uprzedzony nieżyczliwie, ale naprawdę to świat dzisiejszy dla żadnego narodu nie żywił uprzedzeń tak pochlebnych, jak właśnie dla Żydów. Już w dzieciństwie jesteśmy uprzedzani przez rodziców i nauczycieli religji, że to, co wiemy o Bogu, o jego przykazaniach i całą wogóle znajomość moralności religijnej zawdzięczamy Żydom, którym jedynie Bóg się objawił.

Jest to tylko tradycjonalne uprzedzenie i nic więcej. Wystarczy bowiem pobieżne przeczytanie pięcioksięgu Mojżesza, aby się przekonać, jak dalece różnią się pojęcia religijne i religijno-moralne Żydów od odpowiednich pojęć naszych.

Przedewszystkiem, co do monoteizmu, to mylą się wszyscy mniemający, że pojęcie jedynego Boga dali nam Żydzi. Święte księgi żydowskie głoszą wprawdzie cześć jedynego Boga, ale w starszych księgach nie brak jasnych dowodów, że Żydzi nie znali monoteizmu uniwersalnego, lecz plemienny, to jest, że sami wyznawali Boga swego, nie przecząc bynajmniej, że inne ludy mają na swoich ziemiach własnych bogów, również kompetentnych, jak ich bóg. W księdze Sędziów XI, 24 czytamy słowa Jeftego, sędziego izraelskiego, do króla synów Ammonowych: „Azaż coć dał posieść Kamos, bóg twój, tego nie posiędziesz? Tak, kogo Pan Bog nasz wygnał przed obliczem naszem, tego też dziedzictwo posiadamy".

Widzimy tu, że izraelita Jefte uznaje kompetencję boga „cudzego" do władania nad ludem synów Ammonowych. Podobnie znajdujemy w 5 rozdziale II-ej księgi Królewskiej prośbę Naamana do Elizeusza, aby mu dał brzemię ziemi żydowskiej na dwa muły, gdyż na obczyźnie nie mógłby służyć Jehowie, co właśnie czynić pragnie. To drugi przykład, że Jehowa żydowski nie byłem bogiem całego świata, lecz tylko żydowskim i że służyć nie można było tylko na jego ziemi, czyli ziemi zamieszkałej przez Żydów. Z wyraźnemi wyobrażeniami o jedynobóstwie spotykamy się w żydostwie dopiero u proroków, czyli po niewoli babilońskiej, a na całe stulecie przedtem w religji egipskiej, gdzie Amenhotep IV (1375—1358 przed Chr.) usiłował zaprowadzić kult jedynego boga. Ostatecznie pojęcie jedynobóstwa rozwinięte zostało w chrześcijaństwie i to chrześcijańskie pojęcie nie pozostało nawet bez wpływu na religijne wyobrażenia dzisiejszego żydostwa.

Równie błędnym jest mniemanie, że pięcioksiąg Mojżesza nakazuje Żydom miłość bliźniego. To jest owszem, nakazuje, ale Żyd zgodnie ze swoimi księgami świętymi, bliźniego widzi tylko w Żydzie. W drugiej księdze Mojżesza w rozdziale 2, 11-14 czytamy: „I stało się za onych dni, gdy urosł Mojżesz, że wyszedł do braci swej, i widział ciężary ich; obaczył też męża egipcjanina, który bił jednego hebrajczyka z braci jego. A obejrzawszy się tam i sam, gdy widział, że nikogo niemasz, zabił egipcjanina i zagrzebał go w piasek. A wyszedłszy zaś dnia wtórego, ujrzał, a oto dwaj mężowie hebrajscy wadzili się. I rzekł onemu, który krzywdę czynił: Czemuż bijesz bliźniego swego?" Gdy się bił hebrajczyk z egipcjaninem, tedy się tego ostatniego morduje, gdy zaś dwóch hebrajczyków się bije, tedy ich się godzi, bo są bliźnimi. Oto drobna, ale wymowna ilustracja pojęcia bliźniego w żydostwie.

W pierwszej księdze Mojżeszowej znajdują się trzy opowiadania o Abrahamie i Izaaku, które zaiste z naszymi pojęciami o moralności nic wspólnego nie mają. Abraham idzie z żoną swoją do Egiptu, bo tam, gdzie mieszkał, był głód, po drodze zaś namawia Sarę: „Mów proszę, żeś jest siostrą moją, aby mi dobrze było dla ciebie i żywa została dla ciebie dusza moja". Gdy przybywają do Egiptu, Sara, żona Abrahama dostaje się dla swej piękności do domu Faraona, oczywiście jako siostra. „Faraon zaś Abrahamowi dobrze czynił dla niej; i miał Abraham owce, i woły, i osły, i sługi, i służebnice, i oślice, i wielblądy. Ale uderzył Pan Faraona plagami wielkiemi, i dom jego dla Sary żony Abrahamowej.". Wtedy wydało się, że faraon został oszukany i że Abraham dał mu nie siostrę swoją, lecz żonę. „I przykazał o nim faraon mężom i puścili go wolno i żonę jego, i wszystko, co było jego".

To opowiadanie znajduje się w I księdze Mojżeszowej rozdział XII, 10-20.; drugie podane

o Abrahamie w ziemi króla Abimelecha, gdzie również kazał mówić żonie swej, że jest jego siostrą i gdzie powtórzyło się wszystko, jak w opowiadaniu pierwszem, zapisane jest w 20 rozdziale tej samej księgi. Efekt i tu jest taki, że, nabrawszy Abimelech owiec i wołów, i sług i służebnic, dał Abrahamowi i wrócił mu Sarę, żonę jego. Trzecie, podobne opowiadanie o Izaaku znajdujemy o 6 rozdziałów dalej, to jest w 26 rozdziale I-ej księgi Mojżeszowej. Izaak wydaje za siostrę żonę swoją Rebekę, oszukanym zaś jest także król Abimelech. Wynik podstępu Izaakowego był taki, że „się zbogacił, a im dalej tem więcej wzmagał się aż urósł wielce. I miał stada owiec i stada wołów i czeladzi dosyć.“ Do ziemi Abimelecha przyszedł jako biedny uciekinier przed głodem.

Z punktu widzenia naszych pojęć o Bogu zastanawia nas też bardzo, że Jahwe każe Mojżeszowi namówić izraelitów, mających opuścić Egipt, aby napożyczali od egipcjan naczyń złotych i srebrnych i szat. „Tedy synowie izraelscy uczynili według rozkazu Mojżeszowego i wypożyczyli u egipcjan naczynia złote i naczynia srebrne i szat. A „Pan dał łaskę ludowi w oczach egipcjan, że im pożyczali i złupili Egipt.“ Czytamy o ten w rozdziale 12 tym drugiej księgi Mojżesza w. 35 36 i w innych.

Gdy cała nasza moralność opiera się na pracy rąk swoich, w piątej księdze Mojżeszowej rozdział 6. 10-11 Jahwe obiecuje dać Izraelowi „miasta wielkie i dobre, których nie budowałeś, przytem domy pełne dóbr wszelkich, których nie gromadziłeś, studnie wykopane, których nie kopałeś, winnice i oliwnice, których nie sadziłeś.“ Dzięki naszej opieszałości i uprzedzeniom pochlebnym dla Żydów, obietnica ta sprawdziła się w całej pełni: Izrael posiadł miasta wielkie i dobre, których nie budował i t. d.

Zdaje nam się zawsze, że biedni Żydzi dlatego tylko uprawiają lichwę, że nie mieli by z czego żyć, że jednak w ziemi swojej pracowali na roli, w rzemiośle, jak my dzisiaj. Ale już w owych czasach Jahwe zapowiada ludowi swemu, że jeśli go słuchać będzie, to „będziesz pożyczał wielu narodom, a sam nie będzie pożyczał.“ Czytamy o tem w piątej księdze Mojżeszowej rozdział 28-12. Już to do pożyczania miał naród wybrany talent nadzwyczajny. Mniema się zwykle, że Żydzi zostali rozproszeni po świecie przez wrogów. Dzisiejsza wiedza uczy nas, że rozpraszali się sami jeszcze za czasów politycznej niepodległości po miejscach gdzie lepiej handel szedł. Tak np. jeszcze za czasów Sennaheryba (705—686 prz. Chr.), czyli na sto lat przed pierwszem zburzeniem Jerozolimy największy dom bankowy Babilonu był w ręku żydowskim. Była to firma „Bracia Egibi“ i odgrywała na starożytnym wschodzie taką samą rolę jaką dzisiaj w Europie odgrywa dom Rotszyldów.

Lubią też Żydzi oskarżać kościół katolicki o okrucieństwa inkwizycji, ale nigdy nie zaznaczą, że inkwizycja prześladująca czarownice opiera się na słowie II ks. Mojżesza 22-18: „Czarownicy żyć nie dopuścisz,“ oraz na III ks. Mojżesza 21-9, gdzie jest nakazane spalenie ogniem córki kapłańskiej, któraby zgrzeszyła i ojca swego zelżyła. Nietolerancję religijną także otrzymał świat z rąk Żydów.

Na dzisiaj dosyć. Dużo dowiadujemy się ujemnych rzeczy o sobie z ust Żydów, a w naiwności swojej nie wiemy, że źródłem niejednego zła społecznego są Żydzi, ich nauki i nasze zadobre o nich mniemania.

OTTO.

Wrażenia.

JANUSZ KORCZAK: «Bobo». Nowele.

Trudno napisać coś nowego o autorze «Dziecka salonu». Fizjognomja jego literacka zbyt znanjest każdemu intelligentnemu czytelnikowi. Znanym jest cichy liryzm Korczaka starannie maskowany łzawą ironją i czujność etyczna stojąca na straży wszelkich literackich zamierzeń, każdego omal drgnienia pióra. Znamy zarówno jego entuzjastyczną egzaltację nad pierwszemi przebłyskami ludzkiej psychy w człowieku-dziecku. Egzaltacja ta graniczy ze skrajnością. Dla Korczaka człowiek traci swój sens, swoje istotne znaczenie z chwilą gdy staje na progu dojrzałości wnętrznej, więcej nawet: z chwilą gdy poczyna zdawać sobie sprawę z elementarnej przyczynowości świata. Dla Korczaka istoty jedynie uwagi godny to — dziecko; tem ciekawszym jest ono fenomenem — im stoi bliżej fazy niemowlęctwa. Niemowlę — «bobo», oto świat istotnie interesujący, oto kosmos tajemniczy, słaniający się na rubieży ponad przepaściami «być albo nie być». Oto pytanie!

Wkracza też w nie autor «Boba» z frenezją pjoniera, starającego wyrwać zagadce bytu jej treść. Czy się atoli sfinks da odgadnąć? Czy sam natomiast nie strąci śmiałka w bezdno nierozpoznawalnego? — Raczej to drugie, gdyż trudno ludzkimi środki ująć to, co ludzkiem dopiero być zaczyna. Ta rozbieżność w samem założeniu »Boba« mści się: nie mogąc przyłożyć do kwestji miar właściwych (gdyż ich niema) autor krąży w błędnem kole «literatury». Znacznie płodniejszymi w rezultaty są dwa utwory następne zbiorku — «Feralny tydzień» i «Spowiedź motyla» będące jakby dalszymi, chłopięcymi etapami rozwoju indywidualności »boba«. W każdym razie i utwór pierwszy pozostania w poczuciu czytelnika uczucie pożytecznego wyniku pracy autorskiej: nierozwiązalność problemu.

EUGENIUSZ KRASUSKI: „Zagadnienia Kultury“

Autor przechadza się wśród najrozmaitszych teorji filozoficznych i socjalnych, dążąc do wytworzenia własnego światopoglądu.

Z kart książki przebija umysł inteligentny i oczytany, znać poszukiwanie swojej drogi. Z czatem autor niewątpliwie odnajdzie samego siebie, o ile zechce pamiętać, że jednak podział pracy obowiązuje i że książki, syntetyzujące myśl filozoficzną i społeczną epoki, daleko częściej mają wartość osobistych przeżyć i zmagań duchowych, niż pochodni oświetlających szlaki przyszłości.

Książki nadesłane do Redakcji.

Jadwiga Marcinowska: «Vox Clamuntis». Powieść. Nakład Gebethnera i Wollfa. Warszawa — Lublin — Łódź. Str. 277. Rok 1914. Cena rb. 1 kop. 50.

Bronisława Włodkówna: «Proste dzieje». Wspomnienia. Nakład Gebethnera i Wollfa. Warszawa — Lublin — Łódź. 1914. Str. 176. Cena rb. 1 kop. 20.

Tadeusz Nalepiński: «Śpiewnik rozdarty». Nowele. Naład i druk Tow. akc. S. Orgelbranda synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa, H. Altenberg — Lwów Str. 300..

Czerwony Kogut: Nowele litewskie w tłomaczeniu Kazimierza Puidy, z przedmową J' Weyssenhoffa. Nakład Gebethnera i Walffa: Warszawa, Lublin, Łódź. Str. 256.

Jerzy Żuławski: «Przed zwierciadłem prawdy». Szkice filozoficzne. Nakład i druk Tow. akc. S. Orgerbranda synów. Skład główny: E. Wende i Sp. w Warszawie, H. Alten· we Lwowie. Str. 318.

Marjan Dubiecki: «Na kresach i za kresami». spomnienia i szkice. Kijów, 1914. arszawa Nakład księgarni Leona dzikowskiego, Marszałkowska 119. Str. 2S4.

Marja Grossek «Medytacje» Studja współczesności. Anioł wojujący. Tom I i II Str. XVI+352+110. Kraków Gebethner i Sp. 1914.

Elzenberg-Zlasnowska: «Juljusz Słowacki». Sceny z życia poety, w pięciu aktach. Warszawa, 1914. Nakład kasy przezorności i pomocy Warszawskich pomocników księgarskich, Str. 100.

Ofiary.

Na rzecz pomocy Studentowi rb. 30 i
Na wpisy dla uczniów szkół prywatnych polskich rb. 67
od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 15, F. Jabłoński rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, J. Rzewnicki rb. 6, L. Gorazdowski rb 6, S. Klingenberg rb. 6, S. Prauss rb. 5, S. Pilarski rb. 4, S. Poradowski rb. 3, I. Tomaszewski rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, S. Szczawiński rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, J. Rayski rb. 1, B. Świestowski rb. 1, A. Hoppen rb. 1, R. Świetliński rb. 1, S. Hahn rb. 1, K. Prauss rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, W. Popiel kop. 50, S. Słojowski kop. 50, W. Zieliński kop. 50, S. Harland rb. 1, Ogółem rb. 97.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

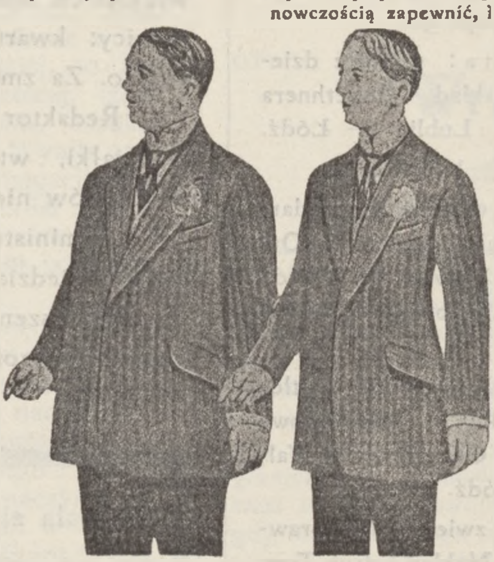
Z drugiej zaś strony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA" (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyriny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę" Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODYRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal".

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.
Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.